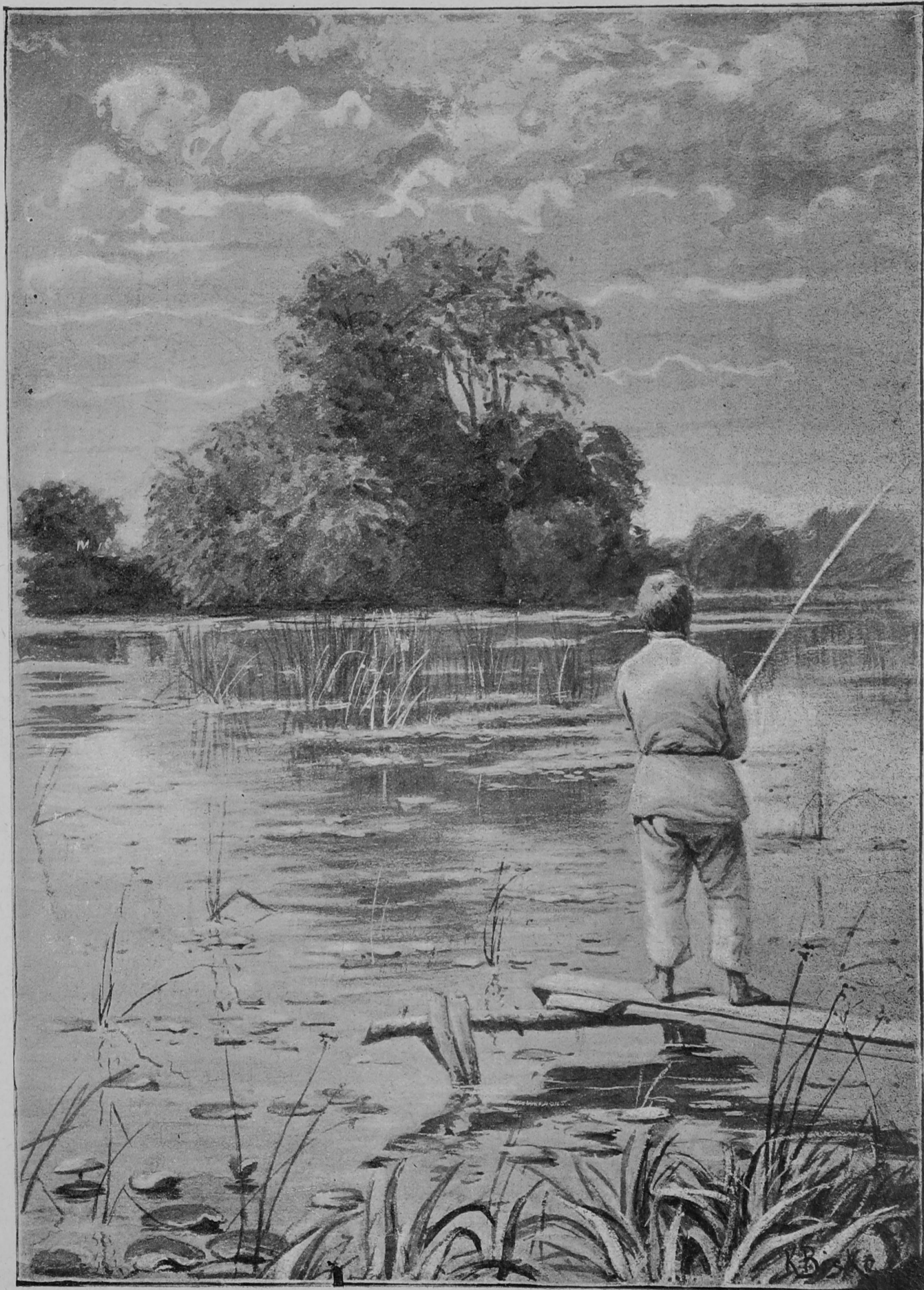


ZIARNO



K. BISKE.

NA WIOSNĘ Z WĘDKĄ.

Zadania zawodowe i społeczne.



często jesteśmy świadkami dwu zjawisk, stojących do siebie w rażącej sprzeczności. Pojawiają się w naszym życiu jednostki, co to obok rozległej wiedzy fachowej, w której dochodzą do świetnych wyników, zajmują się rzeczami na pozór bardzo odległymi. Uczony chemik bada systemy wag i pisze o nich z wielką dokładnością. Chce tym sposobem przysłużyć się ogółowi przez usunięcie chociażby w małej mierze nierzetelności w handlu, krzywdzącej spóżywców. Inny uczony chwytą każdą wieść o nowych wynalazkach w dziedzinie narzędzi rolniczych, chociaż sprawa ta właściwie w jego zawodzie nic go nie obchodzi. Lecz czyni to z zamiłowaniem, gdyż wie, że postępy w rolnictwie przyczynią się do poprawy bytu całego społeczeństwa. Dziwiono się wreszcie doskonałemu prawnikowi, który cały czas swój wolny poświęcał sprawie pszczelnictwa i ogrodnictwa, bo wiedział, że ten odłam pracy, należycie pokierowany, może w części polepszyć dobrobyt ogólny.

W takich nielicznych jednostkach łączą się dwa pierwiastki: zawodowca, który w zakresie swej wiedzy daje społeczeństwu bogate korzyści, i obywatela, który czuł na bóle i niedomagania powszechne, stara się ulżyć ogółowi przez popieranie i ulepszanie działalności zbiorowej

Gdybyśmy mogli powiedzieć o sobie, że wszyscy ludzie wykształceni są zarazem fachowcami i społecznikami, moglibyśmy twierdzić, że społeczeństwo polskie pod względem duchowego swego rozwoju znajduje się na drodze idealnej, a pod względem materialnym czyni wszystko, na co pozwalają mu warunki zewnętrzne.

Niestety, tak nie jest. I tutaj wskazać trzeba na drugi objaw, niestety aż nadto powszechny. Większość zawodowców nie zajmuje się nawet własnymi sprawami fachowymi, od których biegu i rozwoju zależy własny ich byt materialny i stanowisko społeczne. Daleko zaś nam do tego, aby każdy światlejszy członek społeczeństwa posiadał zmysł dla spraw powszechnych, dla zagadnień publicznych i to zajęcie ujawniał przez należenie do jakiegoś stowarzyszenia społecznego i popieranie materialne jakiegoś celu ogólnego.

Przeciwno jednostkom, które pracują zawodowo i społecznie, staje cała masa ludzi obojętnych dla swej organizacji fachowej a tem bardziej zaś dla zagadnień publicznych. Nad tem należy nie tylko ubolewać, lecz całym wysiłkiem dążyć do naprawy. Jestto w pierwszej linii obowiązkiem prasy, aby czytelnikom zwracała uwagę na ich zadania zawodowe i społeczne.

Pracę rozpocząć trzeba od wskazywania na konieczność organizacji zawodowych.

Szukajmy najdrażliwszej dźwigni energii ludzkiej:

egoizmu. Uderzmy w strunę zawsze najwdzięczniejszą: w własny interes. Przez organizację zawodową docieramy do organizacji społecznej.

Nasz obywatel musi się naprzód nauczyć myśleć o zadaniach i interesach własnego zawodu. Wiadomo, że najdoskonalsza specjalizacja i najwytrwalsza praca jednostki niezawsze zabezpiecza od przesilen materialnych, od chwil kłopotów i nawet biedy. Od czasu do czasu przesilenia dotyczą całe zawody, które zatem muszą się bronić zbiorowo. Następnie postępy zawodowe także zależy od wspólnej, wewnątrz zawodu, pracy, od stowarzyszenia się dla celów gospodarczych i naukowych, dla walczenia o lepsze prawodawstwo, dla uregulowania kwestji wynagrodzeń. Widzimy też, że organizacja zawodowa od bardzo dawnych czasów jest niemal komórką organizacji społecznej.

U nas poczucie organizacji zawodowej jest najwyższe w klasach inteligentnych i wśród zawodów, wymagających lepszego przygotowania umysłowego. Wzorem są tu, zwłaszcza w ostatnich czasach, rolnicy, potem przemysłowcy, nauczyciele, lekarze. Gorzej jest z kupcami, najgorzej może z rzemieślnikami.

Gdybyśmy teraz obliczyli, ilu jest ludzi myślących, to łatwo przyslibyśmy do wniosku, że kto umie dbać o interesy własnej korporacji, ten ma także wyższy stopień zmysłu obywatelskiego. Wbrew bowiem temu, co się często sądzi i utrzymuje, w praktyce widać, że ludzie, którzy się zaprawili do pracy społecznej w granicach swego fachu, łatwiej ujmują także interes społeczny i żywiej się mu oddają.

Trzeba więc iść do wytwarzania w naszym kraju obywatela drogą, że tak powiemy organiczną. Ani zmysł życia zbiorowego, ani sumienie obywatelskie, ani wprawa ujmowaniu zagadnień publicznych nie wytworzą się nagle, nie wyskoczą gotowe z naszych szeregów społecznych. Do tego dochodzi się zwolna, przez szkołę życiową. My ją widzimy w lepszej organizacji zawodowej. Tu jest, naszym zdaniem, punkt wyjścia.

— Zawodowcy, wszystkich rodzajów—łączcie się!

Tak brzmiałoby pierwsze zdanie naszego manifestu obywatelskiego.

To łączenie się w korporacje zawodowe jest także — chodzi nam bardzo o to, aby i ta strona była dobrze zrozumiana — celem samym w sobie. Jedyna to bowiem droga do polepszenia wytwórczości, do podnoszenia dobrobytu.

Ważną rolę w uspołecznieniu ogółu odgrywa prasa zawodowa. Ogranicza coprawda zakres swej działalności, lecz kształci fachowo i budzi zmysł solidarności i organizacji. A obrona wspólnych interesów zawodowych jest zarazem pierwszym krokiem do uję-

cia ich z strony obywatelskiej. Każdy świadomy swych zadań i swego stanowiska fachowiec odczuwać będzie potrzeby ogółu, jako przedstawiciel jednej gałęzi pracy organicznej, która ma na oku dobrobyt narodu.

Wzajemnie obywatel, dbający o kraj i znający jego dodatnie i słabe strony, musi być dobrym zawodcem w zakresie swej pracy, która mu daje chleb i stanowisko.

Tym sposobem uzupełniają się te dwie dla polaka tak ważne cnoty: doskonałego fachowca, dążącego

do podniesienia swego zawodu przez organizację i wspólność interesów — oraz miłującego Ojczyznę obywatela, który w miarę zdolności i środków do ogólnego dobra przykłada swą cegiełkę.

I dla tego wszystkie stany i zawody powinny dążyć do wiedzy fachowej i do zrzeszania się w interesie jednostki i ogółu, a przytem niezapominać o kraju, który ma prawo domagać się ofiar — w imię lepszej, szczęśliwszej przyszłości!

Dr. J.



WIOSNA.



*O ziemio moja, o rodzima ziemio!
słońce już łęgi objęło w władanie
i po przez lasy, co w śnie wieków drzemią,
płyńcie wisennych hasel zwiastowanie...*

płyńcie nad polem

*i budzą się niwy,
kwiaty podnoszą zadumane lica —
świat gra hymn wiosnie, rzeźki i szczęśliwy,
żarem słonecznym radosny...*

ziemica

*drga... wśród piaseczoty... oddycha, jak we śnie...
wiosna! słoneczne strzały budzą wonie...
duch ziemi czeka radosny aż wskrzesi
ziemica strojna kwiatami...*

Już płonie,

*już wdycha wonie w pierś senną... już pije
złotej godziny czar... rwie upowicia —
zakwitły nocą róże i lilije...*

Wszehświat goreje... święci tryumf życia.

Zygmunt Zaleski.



HENRYK RZEWUSKI.

Zamek krakowski.

Romans historyczny z wieku XVI.

(c. d.)

W pożyciu jest on najlepszym, najłagodniejszym człowiekiem. Póki widzi szablę w ręku przeciwnika, póty jest wściekłym zwierzem. Ale jak mu

broń wypadnie, jest mu dobroczyńcą, ojcem. Niechno pan towarzysz pancerny tutejszego ludu zapyta. Wprzód gadania nie było z naszymi, bywało wszystko co widzą, pustoszą. Przechód Zaporozża był straszniejszy niż szarańczy budziackiej, niż czumy krymskiej. Ale jak Samucha został hetmanem, wojujemy więcej z tatarami, co wprzód nie bywało, a Polska i Ruś niewiele szkody od nas mają. My z nimi po Bożemu; upominamy się o haracz, bo ten się nam należy. Pan gubernator akuratnie nam się uiszcza, dobrze też za to wygląda i na naszą przyjaźń skarżyć się nie może.

— Drażliwą stronę poruszyłeś, mości atamanie, bo nie do mnie należy wnikać w sprawy mojego ojca; ale pozwólmy sobie powiedzieć, że gdybym ja tu był na jego miejscu, nie tak łatwo byś trafił do swojego, jak go nazywasz, haraczu.

— A to czemu?

— Temu, że możebym się domagał o złożenie jakichś dowodów przekonujących, że on wam się istotnie należy.

— Na co gruntowniejszych dowodów nad ten? — odparł ataman, stuknąwszy o rękojeść swojej szabli.

— Na taki indukt mam u boku mojego odpowiednią odpowiedź. I nie wiem, kto kogoby przekonał: czy waszec mnie, żebym zu zapłacił, czy ja waszeci, żebyś to wyniósł, coś z sobą przywiózł, a cudzego zaniechał.

— Nie wątpię o męstwie waszmości, mości towarzyszu pancerny, i z tem się nie taję, że lepiej wychodzę na łaskawej i spokojniej przyjaźni wielmożnego gubernatora, niżbym mógł wyjść na zbrojnej niechęci jego godnego syna. Bo czybym sam szwank poniósł, czybym waszmości krew szlachetną przelał, nie miałbym czego sobie wieszować; ale ponieważ interes z panem gubernatorem już załatwio-

ny, niech każdy przy swoim zostając, nie myśli tylko o zabawie w tak gościnnym domu.

— Obaczmy — mruknął pod nosem pan Ezechiel.

I gdy wszyscy wstali od stołu, on wyszedł na dziedziniec, jakby już miał dość znajomości świeżo nawiązanej.

Kroki swoje skierował ku stajni, gdzie sypiał z swoim Świrydem, kozakiem przez pół spolszczonym, poddanym klucza kalnickiego, kiedy turkot pojazdu wjeżdżającego na dziedziniec obił się o jego uszy. Obrócił głowę i ujrzał porządną brykę krytą, czworokonną, zajeżdżającą pod ganek komisarji. Wylazł z niej poważny starzec, Błażej Mroczek, dworzanin p a n a krakowskiego, zaszczycony szczególnem zaufaniem całego domu Zborowskich, a wierny swojego pana i Rzeczypospolitej sługa. Pan gubernator wybiegł na ganek, żeby przyjąć znakomitego gościa; pan Ezechiel, pobudzony ciekawością, na czas późniejszy odłożył nawiedziny swojego konia, i powrócił do izby gościnnej, gdzie zastał i nowo przybyłego gościa i tych, z którymi obiadował.

Stary szlachcic w obu dłoniach trzymał rękę pani gubernatorowej, i z głową schyloną przeproszał ją, że ośmiela się stawić przed nią w podróżnym ubiorze.

— Mości chorąży dobrodzieju — odezwał się gubernator — czy się godzi takie ceremonje robić z swoimi prawdziwymi i obowiązanyimi sługami. Czemże mamy mu służyć?

My tylko co po obiedzie, ale natychmiast będzie chudopacholski obiadek i dla pańskiej wielmożności.

— Nie, nie, najpokorniej dziękuję; po dobrem śniadaniu, któreby rannym obiadem nazwać się godziło, wyjechałem z Zorniszcz. To dla mnie starego wystarczy aż do wieczery, co ją z łaski waszmości dostanę.

— Kochanko — rzekł gubernator, obracając się do żony — pamiętaj, żeby wieczera była godna naszego gościa, który pierwszy raz nas nawiedza. Wasza wielmożność niech raczy usiąść. Oto są panowie towarzysze zaporozcy; obaj ludzie godni, przyjaciele naszego skarbu. Przybyli oni do Kalnika na jarmark tutejszy; a oto mój syn, Ezechiel, który

miał szczęście być mu znanym w Zborowie, jeżeli tylko smarkacz mógł ściągnąć ku sobie uwagę pana chorążego.

— A jakże nie? znam! Wszakże pan Ezechiel był jednym z mężniejszych towarzyszy w chorągwi pana kasztelana sandomierskiego; przecie to kolega obozowy mojego syna, i po wyprawie połockiej, która bodajby nigdy nie była nastąpiła, z nim razem był pasowany na rycerza.

— Nie z jednym tylko, ale z obydwojema synami pańskimi kolego wałem — odpowiedział pan Ezechiel, nisko się skłoniwszy — a z młodszym lat kilka chodziłem do szkół. Pozwól wielmożny chorąży zapytać siebie, gdzie się teraz znajdują ci zacni kawalerowie?

— Jednego mam tylko syna, Marcina, ten się ożenił, ma dziatki, które kiedyś wychowa w bojaźni Bożej i w miłości ludzkiej, a teraz pracuje jako szlachcic stateczny na roli dziedzicznej i tej pilnuje, pokąd, czego Boże nie daj doczekać, powołanym nie będzie do pospolitego ruszenia.

— A pan Kazimierz, ów rycerz niezwalczony, któremu w władaniu kopją i szablą ledwo pan Samuel mógł sprostać?

— Daleko panu Kazimierzowi do pana Samuela — odezwał się zaporoziec jednooki.

Pan Ezechiel spojrział pogardliwie na kozaka, poczem przedłużając rozmowę spytał:

— Przebacz, panie chorąży dobrodzieju, że o moim najdroższym przyjacielu śmiem wspomnieć — w

jakich stronach się znajduje?

— Nie wiem — odpowiedział starzec z głębokim westchnieniem — jużem powiedział, że jednego mam tylko syna, drugi... Niech się dzieje święta wola Boża. Jaki los mojego pana spotkał, taki doświadcza jego najdawniejszy sługa. I pan Samuel i mój niegdyś Kazimierz od kilku lat uciekli razem z rodzicielskiego domu. Zresztą, co mam myśleć o osobistych zawodach, kiedy nieszczęścia publiczne na nas jak grad rześisty spadły. Tak, my słudzy straciliśmy pana, senat przewodnika, Korona i Litwa ojca.

— Jak to? — odezwał się gubernator.

— Nie inaczej; Knyszyn i Zborów okryły się



Pasowanie Leszka Białego na rycerza.

kirem, piąty tydzień, jak skończył dni swoje Zygmunt August. Zszedł ten wielki król, nie zostawiając ani potomka, ani nawet blizkiego krewnego. Pierwsze to bezkrólewie, w którym przewidzieć nie można, czyimi będziemy poddanymi. Panowie rady długo taili to nieszczęście przed narodem, oddalając wojnę domową, a może i rozpadnięcie Rzeczypospolitej; ale panu krakowskiemu natychmiast po śmierci króla wyprawiono umyślnego, który mu doniósł o wszystkim, wkrótce potem i synowie jego przybyli. Ale jak się o tem nieszczęściu dowiedział pan krakowski, dawna jego niemoc się wzmogła i od czterech dni zaniósł królowi i na tamten świat służbę nieskażoną.

— Nasz pan umarł!

— krzyknął gubernator, załamując ręce.

— Umarł na rękę mojem, mości panie Zdora, a ja, dziesięć lat od niego starszy, musiałem go przeżyć. Ale co też to było przez pięć ostatnich dni jego śmiertelnego żywota! Wszyscy synowie otaczali jego łożę; mówią wszyscy, bo pana Samuela mam ledwo że nie za przepadłego, a jednak pan krakowski, umierając, najwięcej był nim zajęty. Błogosławił go po kilkakrotnie i często powtarzał:

— To mi był najmilszy syn, a że ja najniegodziwszy grzesznik, sprawiedliwy Bóg zawsze mnie w nim najwięcej dotykał.

Sprowadził do zamku dwóch jezuitów z Lwowa, i w ich rękach, a w przytomności naszej, rewokował swoje nowinki. Głośno wyrzekł:

— Wracam na łono ojczywego kościoła, który byłem opuścił, nie z istotnego przekonania, ale z swawoli, z dumy, łakomstwa, żeby być głową potężnej partji, żeby się ciągle targować z moim panem, a tem wywyższać dom nad wszystkie szlacheckie dwory. A lubo byłem dysydentem, nie odganiałem nigdy od siebie sług wierzących po dawnemu, bo zawsze bałem się umierać między takimi, coby księ-

dza do mnie nie dopuścili. I waści, panie Mroczku, zawsze miłowałem, pomimo różności naszych zdań. A choć źle żyłem, nie tracę nadziei w miłosierdziu Bożem, i przypisuję to modlitwom mojej żony, bo to była święta za życia kobieta.

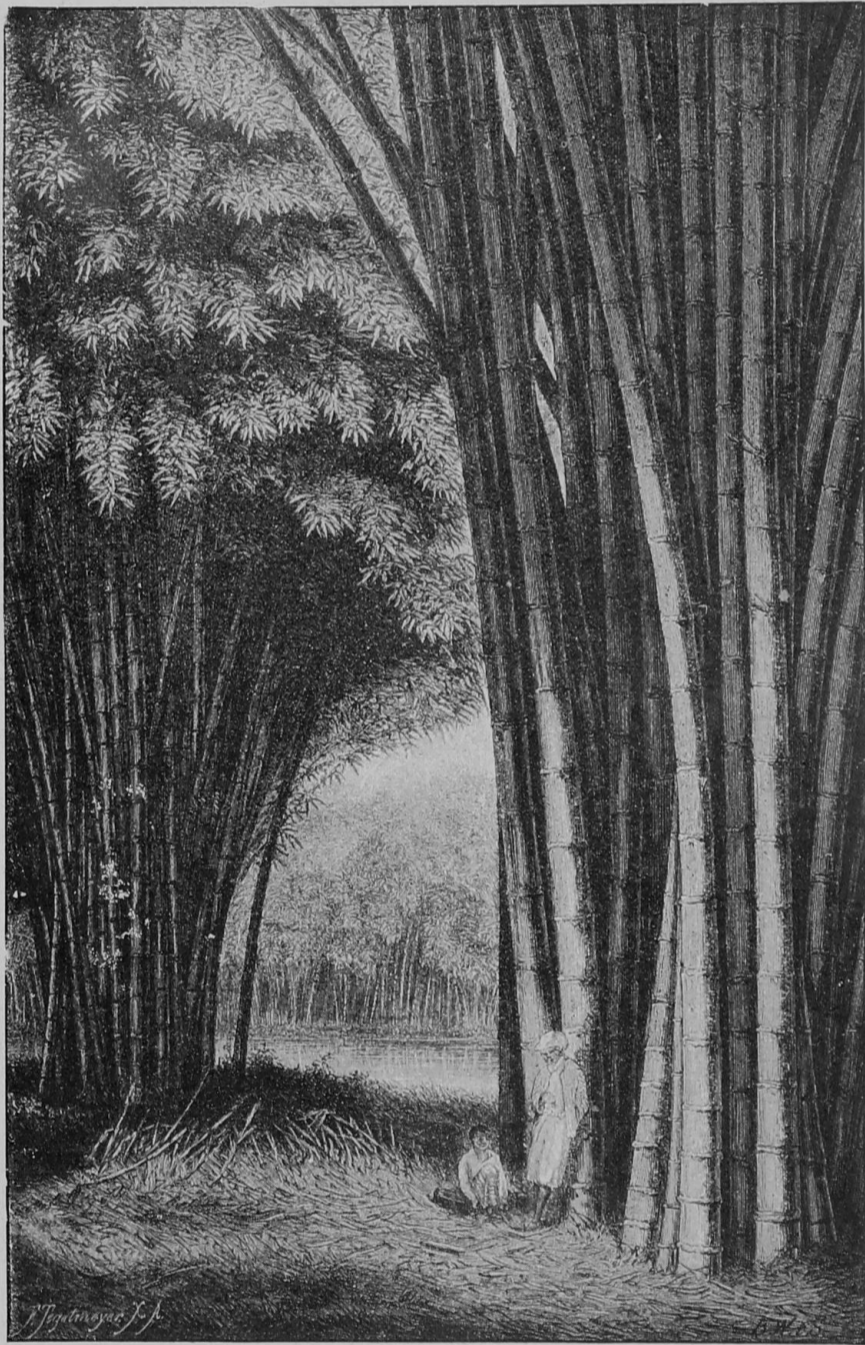
Myśmy wszyscy płakali; jęk był w całym Zborowie. Nikt nie jest bez grzechów, ale to był dobry pan i sprawiedliwy. Daj mnie Boże tak umierać, jak on. Bo to po kilkakrotnie się spowiadał: a z jaką skruchą pożywał ciało i krew Pańskie! a z jaką

przytomnością przyjął oleje święte! jak czule nas przepraszał za zgorzenie. Jeszcze w wigilję śmierci w ojej mówił synom:

— To napróżno: ja was nie skłonię wszystkich, żebyście wrócili do starej wiary. Ale zaklinam was na śmiertelnej pościeli, żebyście nie dopuścili, by dysydent nad wami panował, bo biada domowi, który się pierwszy targnie na prawo pierwsze narodu. Wszak wiecie, jak o tem trzymał mój wielki przyjaciel swat, książe Mikołaj Radziwiłł, wojewoda i hetman, zdobywca Infant. Król był tak zapadł przed laty na zdrowiu, że już o nim zwątpili. A ja mówię księciu: a nuż nieszczęścia, król nie zostawi potomka, czyby niedobrze wtedy zaprosić z Królewca jego siostrzeńca?

— Uchowaj Boże—
odpowiedział książe.

Król Rzeczypospolitej powinien być katolikiem. Bo taki, jeśli chce szarpnąć nasze wolności, przysięgą swoją stwierdzone, to chyba jeden papież go od tego uwolni; a jeżeli który z naszych, to sam siebie rozgrzeszy. Ja mu okazał podziw, że tak zakuty jak on kalwin, to mówił. A on mnie na to: mój miły panie Marcinie, Bóg świadek, zem prawdy szukał, ale moi ministrowie tak mnie obalamucili, że już dziś sam nie wiem, w co wierzę. I choć widzę, że jezuiti moich synów wabiają, nic na to nie mówię, bo mi teraz wszystko jedno. Potem powiedział im:



Bambusy w Indjach.

Oto pan Mroczek ma u siebie złożony mój testament, już od dwóch lat sporządzony, a taki sam zostaje u księcia Krzysztofa Radziwiłła, teraźniejszego wojewody wileńskiego. Tam przeczytajcie wolę moją i ją spełnijcie. Żadnemu z was krzywdy nie będzie. Wszystko po mnie odziedziczycie, a moje legaty na klasztory i kościoły, które w ostatniej woli znajdziecie i pamięć o moich wiernych sługach i w testamencie umieszczona, was nie zubożą. Wszyscyście już teraz możni, jeden tylko Samuel niewydziałony, Bóg wie, gdzie się teraz obraca.

Potem powiedział:

— O Samuelu, Samuelu! rozdarłeś moje serce, aleś zawsze moim dzieckiem; błogosławię cię, odpuszczam urazę i niewdzięczność dla ojca...

Taki to był czuły ojciec, mospanie Zdora, a pan Samuel... dom rodzicielski opuścił kryjomo jakby jaki złodziej.

Tu się znowu do rozmowy wmieszał zaporoziec, ale zawsze po rusku:

— A jużci trudno było panu Samuelowi nie uciekać, kiedy go ojciec przymuszał żenić się z osobą jemu niemiłą.

— A jak to panowie o wszystkim wiecie? — odpowiedział pan Mroczek.

— Nic dziwnego, wielmożny panie — odrzekł ataman. — Z całego świata mamy gości na Siczy, a że my ani piśmienni, ani czytelnicy, więc kiedy nie wojujemy, cała nasza pociecha słuchać, co ludzie o ludziach mówią.

— Jakkolwiek bądź — przedłużył pan Mroczek — pocziwy syn w postanowieniu swoim na radzie ojca polega. Pan krakowski co godzina spodziewając się, że stanie przed Bogiem, kiedy grzechy swoje głośno wyznawał, i w tem nawet wspominał pana Samuela. Nigdy nie zapomnę słów jego:

— Grzech — rzecze — najwięcej ciężący na mojem sumieniu, bo wynagrodzony być nie może, jest zabójstwo księcia Dymitra Sanguszki, który z mojej ręki poległ na Szlązku. Jako opiekun księżniczki Halszki w obliczu prawa wymówiony jestem, że na nim spełniłem wyrok królewski. Ale czy zdołam się wymówić przed Bogiem, który wie dobrze, że nie miłość prawa mnie do tego czynu pobudziła, ale żądza ożenienia którego z synów moich z najbogatszą dziedziczką w całym narodzie? Ja ją przeznaczałem dla mojego Samuela. Oby za moje przewinienie sprawiedliwość Boska na nim się spełniła. Mój panie Mroczku — rzekł do mnie — zaklinam W Pana, żebyś zaraz po mojej śmierci starał się go odszukać, może on gdzieś się tuła nieborak, jak marnotrawny syn ewangelji.

Skończył ten prawdziwy pan, ozdoba senatu, właśnie kiedy jego rady byłyby tak potrzebne dla Rzeczypospolitej. A teraz po jego śmierci młodzi panowie przypomnieli mi mój obowiązek. W tym celu przybyłem do waszmości, ażali Bóg mnie nie dopomoże, bym go wynalazł. Jest to przecież mło-

dzieniec szlachetny. Jak się dowie o sieroctwie Rzeczypospolitej, przypomni sobie może, że jest jej synem i sługą.

— W trudach, co je wasza wielmożność podejmiesz — odezwał się pan gubernator — trafisz pan do podwójnego celu, bo odszukując pana Samuela, i własnego syna wynaleźć możesz.

(c. d. n.).



W obronie wychodźców polskich.

Prezydent Stanów Zjednoczonych, Wilson, niespodziewanie zajął stanowisko przychylne względem słowian, przybywających do Ameryki, a więc przede wszystkim względem Polaków. Jak wiadomo, w roku 1912 obie izby prawodawcze Stanów, to jest izba reprezentantów (kongres) i senat uchwaliły tak zw. „bill Burnetta” orzekający, że przychodźca do Ameryki musi umieć czytać w jakimkolwiek języku, a jeśli nie umie, to ma wstęp wzbroniony. Prezydent Taft założył *veto* przeciw temu prawu, wobec czego nie weszło ono w życie. Zwolennicy bilu Burnetta pocieszali się nadzieją, że za rządów Wilsona bil ten przeprowadzą. Nadzieja była uzasadniona. Wilson bowiem zawsze występował przeciw imigracji słowian, jako rasy najmniej kulturalnej i ucywilizowanej.

Wniesiony do kongresu bil został przez izbę niższą uchwalony. Teraz przeszedł do senatu. Ale prezydent Wilson przez ten czas zmienił zdanie: z przeciwnika imigracji słowian stał się jej zwolennikiem, czemu dał wyraz w kilku wystąpieniach. Powody przezeń przytoczone obiegają obecnie w Ameryce po wszystkich pismach, występujących zasadniczo przeciw ograniczaniu, przewidzianemu w bilu Burnetta.

Ciekawe to argumenty. Przede wszystkim więc prezydent Wilson twierdzi, że bil wcale nie zapobiegnie przybywaniu do Ameryki anarchistów i wyrotowców wszelakiego gatunku, tudzież kryminalistów, bo ci zazwyczaj czytać i pisać umieją, a to są właśnie żywioły najmniej pożądane dla Stanów Zjednoczonych.

Dalej powiada prezydent Wilson, iż wykazy statystyczne najlepiej dowodzą, jak dalece przybysze słowianie garną się do nauki, jak szkoły zakładają dla swych dzieci. Jeżeli więc przybywają do Ameryki jako analfabeci, co zresztą zazwyczaj nie ich jest winą, to wkrótce oni sami uzupełniają z łatwością ten brak, który według bilu Burnetta zagradza

im wejście do Stanów. A dzieci ich — jak to sam Wilson poświadcza — zazwyczaj stają się najlepszymi obywatelami Stanów.

Przybysze ci są potężnym zastępem sił świeżych i tęgich. „Ten nieuczony przybysz — powiada prezydent Wilson — ciężką swą pracą fizyczną wznosi fundamenty pod gmach dobrobytu Stanów Zjednoczonych, a nadto dostarcza im jeszcze swych synów, którzy, korzystając z wiedzy, w Ameryce zdobytej, na podstawach tych wznoszą dalej potężny gmach bogactwa narodowego Stanów Zjednoczonych“.

Nie ulega więc wątpliwości, że i Wilson założył *veto* swoje przeciw prawu, któreby dotkliwie dało się odczuć wychodźcom polskim, gdyż zmusiłoby przeważną ich część do szukania gdzieindziej polepszenia swej doli.



Cmentarny wiatr.



*Po zapomnianym starym cmentarzu
wiatr zabłąkany, jak pies się włóczy,
bazyliżkowe ślepią się jarzą,
to jęczy cicho, to — jak grzmot huczy...*

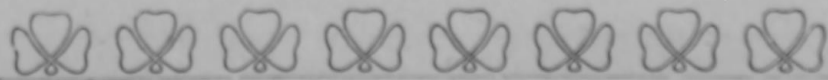
*Po zapomnianych dawno mogiłach
z dzikim skowytaniem biegnie i pada...
z trwogą się zrywa o wątłych siłach,
ginie w oddali, jak mara blada...*

*Po zagubionych ścieżkach cmentarza
idzie, jak pielgrzym we włosienicy,
bezdźwięcznym szeptem modły powtarza,
kochanek śmierci i tajemnicy...*

*Na obumarłym suchym badyłu
usiadł zmęczony, jak ptak na fali...
lecz choć się skrzydła ku ziemi chyłą,
zerwał się strzałą i pobiegł dalej...*

*Po zapomnianym starym cmentarzu
wiatr zabłąkany, jak pies się włóczy...
zielonym ogniem ślepią się żarzą,
to skamle smutnie, to — jak grzmot huczy...*

Edward Kozikowski.



ZIELENIAKI.

NOWELA.

Po chlubnym złożeniu egzaminów dojrzałości w dwu różnych miejscowościach, obaj koledzy spotkali się znowu na wakacjach. Zawód już sobie obrali; z całą powagą oświadczyli ojcom o swem niezłomnym powołaniu, co naturalnie ojcowie z pokorą przyjęli do wiadomości.

Ten piękny czas pomaturalny, kiedy to ludzie wydają się wszyscy dobrzy i szczęśliwi, zasługa i cnota uzyskują zawsze nagrodę, a niewzruszona sprawiedliwość, przelatując tu i tam z mieczem pod pachą, rządzi karnie tym światem — ten nie mający nigdy powrócić okres różowej nieświadomości, upływał Józkowi i Kazikowi na długich rozmowach o celu życia, nieśmiertelności duszy... na wysypianiu się za wszystkie czasy, przechadzkach po lesie, aż znużeni tem wszystkim młodzieńcy, zabrali się do lektury dzieł, otrzymanych od ojców w podarunku. Między innymi były tam pięknie oprawne tomy: „Winnetou“ May'a w oryginale angielskim.

Lamali się z trudnościami języka, którego nie ogarnęli zupełnie, lecz byli zachwyceni. Podziwiali nie utwór, zresztą ogromnie rozwalkowany, ale rzecz samą, zbiór szczególnych wiadomości. Z uniesieniem czytali, jak to bohater powieści Old Shatterhand stawia pierwsze kroki w charakterze „westmana“, jak kierowany przeczuć i dużym wykształceniem umysłowem, a wspomagany niepospolitą siłą fizyczną dokonywa czynów, zadziwiających nawet starego wyjadacza na polu harcerstwa. Jego dalsze postępy pod kierunkiem nieporównanego mistrza Winnetou, bohatera i księcia apaszów, budziły w nich obok podziwu — żal, iż okoliczności skazują ich na powszedni żywot mieszczuchów, skoro pełnia życia, bujny, wspaniały rozkwit ducha i ciała, jest udziałem wielu ludzi, tak nie różniących się od nich wcale.

Uzyskawszy jednak, jak im się zdawało, tyle wiadomości o sposobach podchodzenia i podsłuchiwania nieprzyjaciela, rozeznawania śladów po ziemi, nawet odgadywania zamiarów przeciwnika, bynajmniej nie uważali się za „zieleniaków“; owszem, sądzili, iż wiedzą znacznie więcej, niż taki Sam Hawks, uważający się za westmana — a nie dostaje im tylko praktyki, by zrównać się przynajmniej z drugorzędnymi skautami.

Tę praktykę postanowili zdobyć.

W pobliżu był las, a w pewnym odległym miejscu obszerna polana, z mnóstwem niewykarczowanych pniaków, zarośnięta krzewami malin i ostreżyn, młodymi świerkami, a jej środkiem płynął mały strumyk. Z wyjątkiem pory zbierania jagód, rzadko kto tam zachodził. To był wybrany teren do ćwiczeń. Rano, z względu na rosę, koledzy ćwiczyli



F. VINEA.



ZABAWA ŻOŁNIERSKA.

się w biegu i skokach, tudzież badali rodzaj zagięcia trawy po przygnieleniu stopą, oznaczali z zegarkami w ręku termin jej podniesienia się całkowitego, starali się odróżnić ślad człowieka w chodzie, a biegu... popołudniu zaś kształcili się gorliwie w pelzaniu na palcach, podchodzeniu się i ukrywaniu wzajemnem. Czasem szukali się daremnie całe popołudnie, aż wygłodniały Józek zawołał:

— Kaziu, Kaziu! Gdzieś ty się podział?

— Tutaj! — odzywa się Kazik z poza blizkiego krzaka.

— A bodajże cię! A ja się ciebie tyle naszukiwałem.

— I ja ciebie.

— Byłbym cię wnet już znalazł. Tak bym cię przychwycił nagle, za kark... Zdrętwiałbyś!

— Oho, gdyby mię palce nie bolały tylko, miałbyś się z pyszna! Przecież mogłem cię prawie ręką dosięgnąć.

— Czegożes nie chwycił?

— No — mówił zbity z tropu Kazik — nie wiedziałem, że tu jesteś.

Wszelako nie zrażali się wcale. Niepowodzenia swoje tłumaczyli tem, iż z powodu roślinnych śladów, jakie sami pozostawiali, łatwo było o pomyłkę; gdyby to chodziło o wyszukanie kogoś obcego, o! wtedy ich wiadomości i praktyka miałyby sposobność zabłysnąć.

Pewnego popołudnia koledzy maszerowali na palcach rąk i nóg, jeden za drugim, jak niedźwiadki, czerwoni i złani potem z powodu gorąca na osłoniętej od wiatru, a zalanej słońcem polanie, gdy na jej skraju ukazały się dwie dziewczyny z dzbankami w ręku.

Koledzy pokładli się szybko na ziemi jak dżdzy.

Nareszcie Kazik podniósł głowę.

— Widziały nas — szepnęła.

— Skąd wiesz?

— Patrzą w tę stronę i śmieją się.

— Nic nie szkodzi. Tem lepiej.

— Co?

— Pójdziemy je podsłuchać.

— Brawo! Świetny pomysł.

Młodzieńcy wypoczęli nieco, a następnie zmierzwszy okiem dość znaczne oddalenie nieprzyjaciela, zgodzili się na taktykę, używaną w podobnych razach przez Old Shatterhand'a, taktykę, która nakazywała szukać wszędzie osłony, a niekiedy przestrzeń całkowicie odkrytą przebyć w kilku skokach aż do najbliższego krzaka. Rozumna ostrożność ma wskazać, jaki w danym wypadku sposób zastosować.

Dziewczęta zajęte były pilnem zbieraniem malin, gdy koledzy podpełznąwszy cichutko do maleńkiego świerczka, zerwali się nagle jak dwa jaguary i przebiegli puste miejsce, dzielące ich od kępy jeżyn. Stąd to poczęli posuwać się wolno na czworakach czas długi — teren i rozwaga nakazywały okrążyć

nieco łukiem obozowisko nieprzyjaciela — aż Józek, gramolący się w tyle wyszeptał:

— Kazik, zaczekaj, już nie mogę.

Spoczęli więc chwilę, zaczem ślimaczy pochód odbywał się w dalszym ciągu.

Nareszcie zbliżyli się tak znacznie, że rozróżniali wyraźnie głosy dziewcząt.

Kazik uchwycił towarzysza za ramię, poczem przyłożył usta do jego ucha i coś szepnął.

— Nic nie słyszę — mruknął Józek.

— Bodaj cię licho! — ozwał się głośniejsz Kazik. — Rozdzielmy się teraz.

— Ależ naturalnie! — odparł Józek, chociaż nie przypomniał sobie z teorii, w jakim właściwie celu.

Kazik popełzał w prawo z zdwojoną czujnością. Był już bardzo blisko, gdy jakaś przekłeta gałązka chrupnęła. Przystanął, zaparłszy oddech; potem wcisnął się ostrożnie w kępę malin.

Wówczas usłyszał, jak jedna z dziewcząt zaśmiała się i rzekła:

— Biedne chłopaki, łążą gdzieś po krzakach, a my już malin nie mamy gdzie podziąć.

Kazik rozchylił powoli łądygi krzewu i spojrział. Dziewczęta stały w słońcu, a ich kolorowe katanki i białe chustki aż raziły oczy. Zwrócone były bokiem; ich nawpół ocienione, rumiane policzki były pełne figlarnej wesołości.

— Nadziałybyśmy ich jagodami jak indory — odpowiadała druga.

— Ten Kazik, to udatny chłopiec, tylko kapelusz z głową zanadto do góry podnosi.

— A Józio patrzy w ziemię.

— Walne chłopaki, jeno do nas dziewczyn jeszcze nie mają śmiałości.

Kazik poczerwieniał z świętego oburzenia.

— Za młode jeszcze.

Zachichotały obie radośnie.

— Ale na czworakach łążą jak muchy.

Nowy wybuch śmiechu.

— Może oni tu są gdzie blisko?

— A może trzeba zawołać.

— Kaziu, Kaziu! — wołała, śmiejąc się dziewczyna.

Kazik oniemiał.

Czyżby go widziały? Nie, to niemożliwe! Przy jego praktyce w podchodzeniu!

Wtem spostrzegł, iż nawprost krzak ostreżyny dziwnie się, jak żywy, rusza i szeleści. Przecież wiatru niema. Byłbyż to Józek?

Lecz uwagę jego znów odwrócił głośny śmiech dziewcząt i słowa wyraźnie do niego skierowane:

— Kaziu! Wyleż już!

Zaszumiało mu w uszach, potem porwała go pasja.

— Widziały mię! Niech was djabli!

— Kaziu! — mówiła chichocąc dziewczyna. — Wyleżże. Dam ci jagód.

Kazik zaciął zęby. Choćby miał do północy siedzieć — nie wyjdzie. Ach, z jaką przyjemnością udusiłby tę małpę.

Wtem druga posunęła się szybko naprzód, rozchyliła krzak i schwyciła przykucniętego Józka za czuprynę. Zerwał się Kazio w obronie towarzysza, lecz niebawem stanął zdumiony i oburzony. Kolega nie myślał się bronić, lecz przekręciwszy głowę otworzył usta, w które rozolutna pogromicielka harcerzy poczęła sypać co największe maliny.

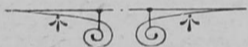
Oburzył się Kazik na brak bohaterstwa i zniechęcałość kolegi, zakrył palący wstyd na twarzy i w skokach pantery uciekł do domu.

Przez miesiąc cały nie rozmawiali z sobą, aż raz Kazio błądząc samotnie z nudą i rozpaczą w sercu po polanie, usłyszał głos Józka. Znanym sposobem podpełzał jak najbliżej. Nadmiar ostrożności był zbyteczny, tak dalece dziwne towarzystwo było sobą zajęte.

Jego kolega z ogromną swadą wykladał tajniki mistrza Winnetou, a słuchaczkami jego były — obie przyjaciółki malin.

Odtąd już uprawiali harcerstwo w czwórce, zgodnie i przykładowo, a po podchodach, strzelaniu z łuków i gonieniu za śladami — wyschłe gardła zwilżali w harmonji soczystymi jagodami. Teraz oni mistrzowali, a „zieleniakami“ były dwie nowe adeptki skautingu.

Wł. G.



Koszty latania w powietrzu.

Lotnictwo jest dziś nie tylko sztuką śmiałych i nową bronią odważnych, lecz i — przemysłem opartym na ścisłym rachunku.

W dziennikach francuskich znajdujemy obliczenie kosztów jednej godziny latania w powietrzu. Rachunek obejmuje przede wszystkim koszty benzyny, które wynoszą mniej więcej 8 do 20 franków na godzinę. Zależy to od aparatu, oraz od oporu, jaki żeglarz powietrzny ma w górnych regjonach powietrza do zwalczania.

Dalej oblicza się koszty zużycia aparatu. Aparat dwuskrzydłowy pierwszorzędnej wartości kosztuje 20,000 franków. Ponieważ taki aparat nie może wytrzymać dłużej, aniżeli sto godzin rzeczywistego lotu w powietrzu, przeto na każdą godzinę istotnego lotu wypada 200 franków.

Motory w aparatach trzeba wymieniać na nowe, przecięciowo po 60 godzinach lotu. Ponieważ motor kosztuje 5,000 franków, przeto na sto godzin lotu koszty zużycia motoru wynoszą 50 franków.

Częste naprawy i czyszczenie aparatu pochłaniają także znaczne sumy, które trzeba razem obliczyć na 6,000 franków. Daje to 60 franków na godzinę rzeczywistego lotu.

Piloci są obecnie stosunkowo tani. Olbrzymie gazy, które lotnicy pobierali w początkach rozwoju awjacji, dzisiaj należą już do przeszłości. Wyborne go pilota można mieć dzisiaj za 600 franków miesięcznie. Przypuszczając, że pilot zwycięży sto godzin lotu w ciągu trzymiesięcznej służby, wypadnie z tego, że każda godzina lotu kosztuje 18 fr.

Podsumowawszy te liczby, znajdziemy, że godzina lotu dokonanego kosztuje franków 300. Że zaś przeciętna przestrzeń przebyta w ciągu godziny wynosi 100 kilometrów, przyjąć należy koszt kilometra na franków trzydzieści.

Na takim obliczaniu jest oparta następująca kombinacja pocztowa.

Proponowanym jest zaprowadzenie pocztowej służby lotniczej pomiędzy Paryżem a Marsylją.

Ten bieg wymagałby sześciu godzin. Lotnik będzie zabierał sto kilogramów listów. Przy trzystu frankach kosztów na godzinę, list, posiadający 25 gramów ciężaru, będzie kosztował przeszło pięćdziesiąt centimów.

Prócz tego trzeba doliczyć koszty wyłożonego kapitału, potrzebnego na urządzenie tego przedsiębiorstwa pocztowego. Porto list zwyczajnego w granicach Francji kosztuje 10 centimów. Ale list wysłany z Paryża po południu w poniedziałek, bywa doręczony adresatowi dopiero koło południa w wtorek. Kto chce, aby jego list z Paryża doszedł adresata w Marsylji jeszcze tegoż dnia, ten będzie musiał zapłacić 60 do 75 centimów porta. W każdym razie jest to znacznie taniej, aniżeli depesza, przy czem list może być daleko obszerniejszym, aniżeli telegram.

Przyszłość więc poczty leży w... obłokach; Stamtąd spływać będą z pospiechem błyskawic wieści z stron dalekich. Gdy awjacja udoskonali loty poprzez oceany, komunikacja listów drogą powietrzną wyłączy zapewne poczty na statkach.



TYPY ŻYDÓW.

(dok.).

Biali żydzi Malabaru pochodzą od żydów babilońskich, którzy po zburzeniu miasta Sura przy końcu V-go wieku wywędrowali do Arabji i Indji. Wypędzeni stąd przez portugalczyków w r. 1565 udali się do Kochinu. Fizognomją rażąco odróżniają się od krajowców; mówią językiem malajalam, ale w synagodze odmawiają modlitwy po hebrajsku.

Obok białych żydów znajdują się w Kochinie tak zwani „czarni“, powstali przez zmieszanie się żydów z ciemnymi indami lub od indów, którzy przeszli na judaizm. Biali jednak żydzi malabarscy nie uważają ich na równi z sobą i nie wchodzą z nimi w związku małżeńskie.

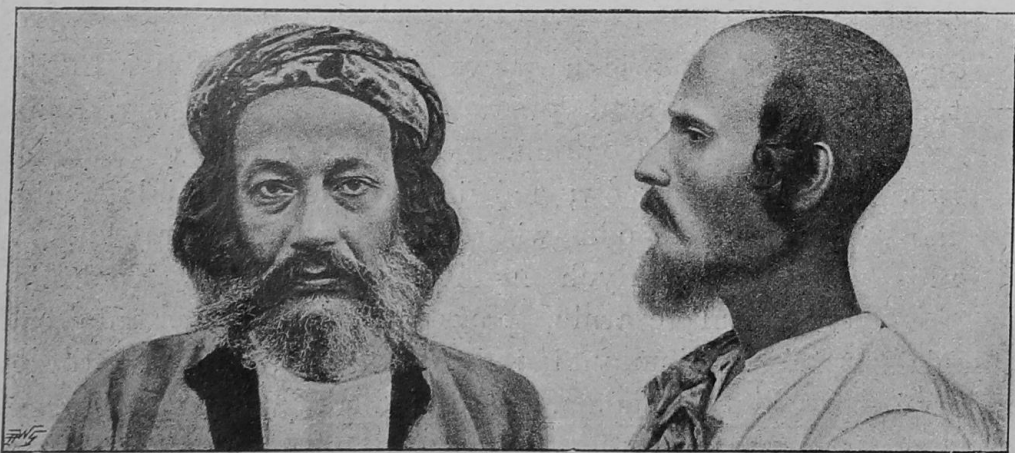
Dzisiaj żydzi od dawien dawna dzielą się na dwie wielkie grupy: Sefaradim i Aszkenazim; średniowieczna legenda uważa pierwszych za potomków Judy, drugich za pochodzących od Benjamina. Sefaradowie stanowią południową gałąź; do nich należą wszyscy po hiszpańsku mówiący żydzi, mieszkający w Afryce północnej, na półwyspie bałkańskim, oraz małe kolonie Londynu i Amsterdamu, uważające siebie za wyższych od innych swych jedнопlemieńców, od których zupełnie się odsuwają. Są szczupli, o wybitnie długich głowach, owalnych twarzach, garbatych i wysuniętych, lecz cienkich i zgrabnych nosach; oczy i włosy mają czarne, ale nierzadko rude. Aszkenaz jest natomiast pod każdym względem ordynarniejszy, usta ma większe, nos grubszy, zwłaszcza przy końcu, wargi pełne i zmysłowe, twarz szerszą, głowę krótką i okrągłą.



Żyd z Tunisu.

Jest to bardzo wybitna różnica wszystkich semickich szczepów, również i arabów, którzy wszyscy mniej więcej zbliżają się do typu murzyńskiego i odznaczają się właśnie wystającym tyłem głowy. Tylko północno afrykańscy żydzi zdają się pod tym względem zbliżać do arabów. Reszta sefaradów i wszyscy aszkenazy są krótkogłowi. Miałoby ich kształt czaszek ulec zmianie, lub też może arabowie się wyrodzili?

Według tego dziewięć dziesiątych wszystkich żydów różniłoby się od swych semickich przodków w ustroju czaszek, jak niebo od ziemi, a czysto se-



Biały żyd z Kochin.

Czarny żyd.

mickie pochodzenie żydów wogóle byłoby bajką. Renan miał słuszość, mówiąc, że nazwa żydów przynajmniej dla aszkenazów niema już etnograficznego znaczenia. Również i Lombroso zalicza nowoczesnych żydów raczej do aryjczyków, niż semitów.



Żydówki trypolitańskie.

Niewątpliwie zależy to bardzo od bezpośredniego skrzyżowania. Od drugiego zburzenia świątyni żydzi nie tworzyli już nigdy państwa, ale było wśród nich wielu prozelitów, a związek nawróconego poganina z żydówką nie był zakazany. O nienawiści rasowej nie było wówczas jeszcze mowy. Przez różne sobory wydane zakazy mieszanych małżeństw, jak w roku 538 w Toledo i r. 743 w Rzymie, dowodzą, że małżeństwa takie nie były wtedy rzadkością. Dopiero później wieki średnie i zamknięcie żydów w Ghetto położyło im tamę. Jeszcze w roku 1229 pewien arcybiskup w Węgrzech pisał, że wielu żydów zaślubiło chrześcianki i że nawrócenia miały miejsce tysiącami. Krzyżowanie więc ras jest faktem uznanym.

Główną cechą żyda w pojęciu ogółu ma być nos zakrzywiony. Tak jednak nie jest w ścisłym słowu znaczeniu, u innych bowiem narodów spotykamy również krzywe nosy. Charakter żydowskiego nosa, który istnieje rzeczywiście, leży nie w profilu, lecz w ustroju nozdrzy.

Istnienie fizjognomji żydowskiej jest rzeczą niezaprzeczoną. Zachodzi wszakże pytanie, co się na nią składa: rysy, czy też wyraz? W pierwszym wypadku należałoby ją uważać za dziedziczną, a w drugim za nabytą, jako „wyraz Ghetta”. Jeżeli długoletni ucisk, prześladowanie i zawzięta walka z ludźmi i warunkami wycisnęła swe piętno w ich naturze, dla czegożby nie miała tego wywołać i w wyrazie twarzy?

Żydzi, jak już to zaznaczyliśmy, nie mają odrębnej stałej formy głowy, nie mogą przeto rościć pretensji do jedności rasy; kształt ich czaszki zgadza się prawie wszędzie z kształtem otaczającej ludności, świadcząc o znacznym zmieszaniu z nieżydowskimi żywiołami. Pomimo to jest ten charakterystyczny wyraz twarzy, którego nawet tak bezstronny badacz, jak Wejssenberg, nie zaprzecza. Czem objaśnić tę sprzeczność? Oczywiście mamy tu do czynienia z sztucznym doбором. Zupełnie analogiczny fakt spotykamy u basków. Żydzi, zarówno jak baskowie, w wysokim stopniu odczuwają swą odrębność społeczną. U basków pochodzi to wskutek jeograficznego odosobnienia i oryginalności mowy. U żydów wskutek społecznego wyodrębnienia, wpływającego z religji.

Armeńczycy również długotrwałemu odgraniczeniu zawdzięczają stożkowaty kształt głowy bez wypukłości z tyłu. Wszystkie te ludy odosobniły się rozmyślnie w celu zachowania swej indywidualności. Z natury rzeczy musiało to oddziaływać i na ich pojęcia o piękności, utworzyli sobie własny jej ideał i kierowali się nim przy zawieraniu związków małżeńskich. A że wybór w tych stosunkach zależy najczęściej wyłącznie od mężczyzny, bardzo jest naturalne, że typ żydowski przebija się daleko wyraźniej u kobiet niż u mężczyzn. Zjawisko to obserwujemy i w innych miejscach.

Żydzi nie tworzą rasy, ale tylko lud. Ich niezaprzeczone odrębność nie jest następstwem czystości rasy, lecz wytworem ciągnącego się od pokolenia do pokolenia mniej lub więcej rozmyślnego doboru i piętna duchowego, które noszą od wieków.

J. N.

Kronika polityczna.

Rewolucja w Meksyku, która spustoszyła doszczętnie kraj żyzny i bogaty, toczyła się dotąd własnym torem. Sąsiedzi przyglądali się walkom powstańców i okrucieństwom ich przywódców z założonymi rękami; czasami odnosiło się nawet wrażliwie, jakoby Stany Zjednoczone popierały bratnią walkę meksykańską.

Prezydentem Meksyku po zamordowaniu swego poprzednika jest generał Huerta. Nie uzyskał on jednakże zatwierdzenia Unji amerykańskiej. Przeciwnie rząd w Waszyngtonie patrzył raczej życzliwym okiem na przeciwnika Huerty, generała Villę, chociaż ten zamordował Anglika Bentona, a więc obywatela zaprzyjaźnionego państwa.

Naraz zdecydował się prezydent amerykański Wilson na krok stanowczy i od łagodnych napomnień przeszedł wprost do kroków wojennych. Obecny powód zatargu pomiędzy dwoma



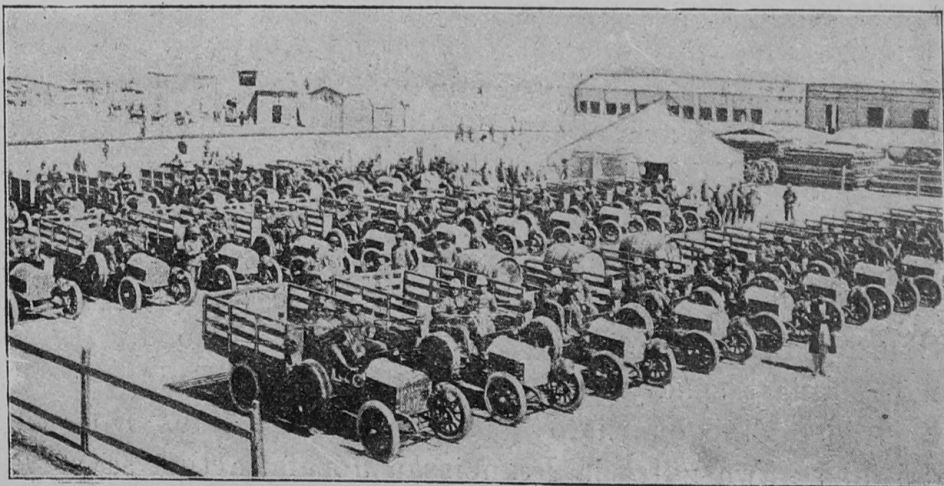
MAMUT PRZEDPOTOPOWY.

W Saturni, w ziemi galicyjskiej, wykopano szczątki zwierząt przedpotopowych, mianowicie: nosorożca i mamuta. Przy ostatnim okazie zachowały się prócz kości doskonale ścięta mięsne z całą skórą.

wielkimi państwami Ameryki północnej jest błahy. Huerta odmówił salutowania flagi Stanów Zjedn., jako zadośćuczynienia za aresztowanie kilkunastu marynarzy amerykańskich w przystani Tampico. Wilsonowi nie wystarczyło wypuszczenie ich na wolność i przeproszenie.

Różnica więc pomiędzy postępowaniem wobec Villi a Huerty, chociaż obaj warci są stryczka, aż nader jest widoczną.

Tłumaczy się to względami politycznymi, które jasno określają obecne stanowisko rządu waszyngtońskiego. Bezpośrednim celem, do którego zmierza on od szeregu miesięcy, jest usunięcie prezydenta Huerty. Dlatego rząd amerykański otworzył granicę dla dowozu broni rewolucjonistom i popierał ich jawnie wszelkimi środkami. Skutek pożądanym ujawnił się niedawno: powstańcy meksykańscy pod dowództwem Villi i Carranza odnieśli szereg doniosłych zwycięstw nad wojskami rządowymi, dzięki czemu prezydent Huerta znalazł się w położeniu wysoce krytycznym. Zdaje się nie podlegać wątpliwości, że Stany skorzystały świadomie i celowo z bylejakiej sposobności, ażeby akcją bezpośrednią móc zadać ostatni cios wrogowi.



Amerykański park samochodów wojennych.

Jest to dziś po zwycięstwach rewolucjonistów zadanie łatwiejsze niżli przed kilku miesiącami, gdy Huerta był jeszcze panem większej części kraju, a przeciwnicy jego, osaczeni w nadgranicznych prowincjach północnych, trzymali się taktyki obronnej. Dziś nie potrzeba już rozpoczynać regularnej kampanji od strony Rio Grande, dzielącej Meksyk od południowych Stanów Unji; nie trzeba strategicznie obejmować olbrzymich, słabo zaludnionych przestrzeni, co byłoby może ponad siły słabej liczebnie armji amerykańskiej. Ażeby wkroczyć do Meksyku i stracić osłabionego skutkiem klęsk wojennych, pozbawionego środków finansowych, prezydenta Huertę, wystarcza obrać za podstawę strategiczną forty Tampico i Vera Cruz i zająć linje kolejowe, prowadzące do stosunkowo blisko położonej stolicy kraju. Oczywiście trzeba stoczyć także rozstrzygającą bitwę, ale to zadanie obecnie już nie przerasta sił Stanów Zjednoczonych. Znaczny korpus ekspedycyjny wystawić są one w każdym razie zdolne.

Powodzenie domniemanego planu należy jednak całkowicie od współdziałania lub przynajmniej neutralności popieranym przez Stany powstańców meksykańskich.

Zdaje się, że prezydent Wilson upewnił się już pod tym względem, gdyż inaczej wynik walki nie byłby tak bardzo pewny. Amerykanie posiadają coppersza dobrą i silną flotę, natomiast mają meksykanie liczne i bitne wojska lądowe, dzisiaj coppersza zwalczające się nawzajem. W razie połączenia się oddziałów Huerty, Villi i Carranza milicja Stanów miałaby ciężką z nimi przeprawę na rozległych i górzystych terenach meksykańskich, mimo znakomitego parku samochodów wojennych.

W Abbazji odbył się zjazd ministra austriackiego Berchtolda z ministrem włoskim San Giulianem. Narady pełnomocników dwu sprzymierzonych mocarstw poprzedziły wizyty Wilhelma II, cesarza niemieckiego, u dworu wiedeńskiego i włoskiego. Chodziło o ponowne zatwierdzenie sojuszu trzech państw, należących do trójprzymierza, omówienie sprawy bałkańskiej i przede wszystkim ułożenie wspólnych kroków na wypadek wojny europejskiej.

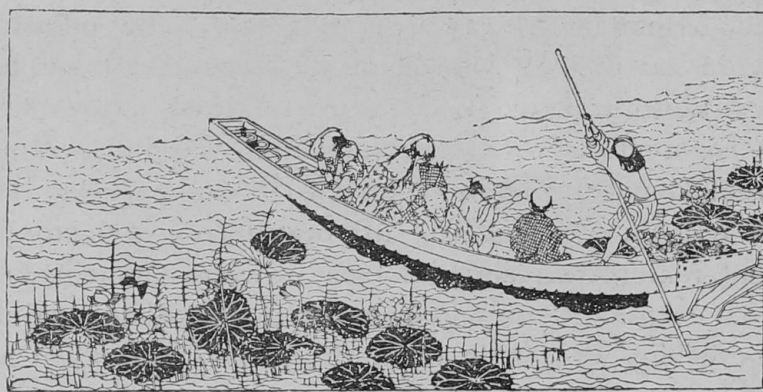
Ta zaś zdaje się ciągle wisieć na włosku. Widocznym jest znaczne ochłodzenie stosunków pomiędzy Rosją z jednej, a Niemcami i Austrią z drugiej strony. Jak mało położenie ogólne jest pewnym, dowodzi fakt alarmu, który wywołała choroba cesarza Franciszka Józefa, władcę ogólnie uważanego w Europie za najlepszą rękojmię pokoju. Sędziwy monarcha zapadł na zapalenie płuc, a w jego poważnym wieku choroba taka grozi zawsze katastrofą. Skoro tylko o fakcie tym rozeszła się wiadomość, natychmiast spadły papiery na giełdach, a zaniepokojenie ogólne ogarnęło gabinety europejskie. Do dzisiaj sprawa zdrowia Franciszka Józefa, a tem samem i pokoju nie jest jeszcze rozstrzygnięta.

W Galicji rozgrywa się obecnie walka o wieś

polską. Znany warchoł, a dzisiaj już otwarty przyjaciel żydów i socjalistów, poseł Stapiński, zwołał wiec do Krakowa, aby utwierdzić swe znaczenie i wykazać swe siły i wpływy w Wiedniu. Gorąco oklaskiwany przez żydów i socjałów szafował Stapiński wyzwiskami na ludowców z pod sztandaru Bojki, kler i wszystkie stronnictwa polskie. Poza tem wielkiego wrażenia kongres krakowski nie zrobił.

Czas byłby wistocie, aby wszystkie stronnictwa polskie i ludowe w Galicji połączyły się celem ratowania wsi polskiej przed tak wstrętnym i jawnie chwalącym się z przekupstwa den agogiem. Przyjaźń z żydami i socjalistami „najlepsze“ mu zresztą wystawia świadectwo.

Lech.



Z blizka i daleka.

Dział polski w muzeum brukselskiem. W muzeum narodowym w Brukseli, za staraniem d-ra Joteykówny, powstał dział polski. Dział artystyczny jest prawie kompletny: muzeum posiada wszystkie ważniejsze wydawnictwa sztuki polskiej, albumy, reprodukcje, sztychy i t. d. Dział krajoznawczy również zasobnie się przedstawia: sekcja posiada tablice i mapy etnograficzne, liczy zbiór fotografii i reprodukcji, ilustrujących typy ludowe, obyczajowe i kostjomy z wszystkich dzielnic Polski. Dział historyczny wykazać się może dość bogatym materiałem map, portretów królów polskich, ilustracji starych gmachów, pomników itd. Stosunkowo najslabiej przedstawiony jest dział ekonomiczno społeczny. Szczegółowe dane posiada muzeum o szkolnictwie galicyjskiem. Działalność komitetu lwowskiego, pod przewodnictwem wicemarszałka kraju Pilata, była na tem polu bardzo energiczna i owocna; jego to staraniem zawdzięcza muzeum grafikony wykończone, które świadczą o rozwoju szkolnictwa ludowego, średniego i wyższego w Galicji. Sekretarz jeneralny muzeum międzynarodowego, oglądając szczegółowo w sekcji polskiej wszystkie jej zasoby, niejednokrotnie zatrzymywał się przed tym jej działem, chwając ścisłość, staranność i wykończenie zawartych w nim prac. Grafikony galicyjskie będą ozdobą muzeum polskiego w Brukseli. W popieraniu tej kultural-

nej placówki polskiej Galicja nikomu nie pozwoliła się wyprzedzić. Oprócz pięknego działu statystycznego, dała muzeum poważny zasób materiałów, dotyczących się przemysłu ludowego, sztuki ludowej tatrzańskiej i stylu zakopiańskiego. Słabiej o wiele przedstawia się działalność komitetu poznańskiego, chociaż i z tej strony sekcja polska osiągnęła dość znaczne wyniki. O najważniejszej dziedzinie polskiej — o Królestwie, i tego powiedzieć, niestety, nie możemy. Zwiedzający muzeum polskie cudzoziemiec mógłby wywnioskować, że Polska składa się tylko z Galicji i Poznańskiego. Nie mając organu centralnego, z którym mógłby się porozumiewać, komitet sekcji polskiej muzeum międzynarodowego, chcąc nawiązać stosunki z Warszawą, zwracał się do osób prywatnych, pracujących na polu społecznym, i do poszczególnych instytucji z prośbą o nadsyłanie materiałów. W odpowiedzi Tow. krajoznawcze zasiłowało muzeum znacznymi materiałami. Biuro pracy społecznej przyrzekło swoją pomoc. Przy muzeum powstała, również dzięki ofiarności poszczególnych osób i instytucji, dobrze się zapowiadająca i posiadająca już cenne dzieła polska biblioteka naukowa.

„Hotel milczenia”. W Londynie otwarto „Hotel milczenia”. Personel posuwa się zupełnie spokojnie i milcząco. Podłoga pokryta jest grubymi kobiercami perskimi, stłumiającymi kroki. Z gościem nikt nie zamienia słowa. Każda potrawa, każde wino na jadłospisie jest numerowane. Wystarczy wskazać przy zamówieniu odpowiedni numer, aby porozumieć się z służbą. Jest to hotel, w którym panuje spokój klasztorny.

Fryderyk Weyerhäuser. Jak już doniosły depesze, w Pasadena (Kalifornia) zmarł Fryderyk Weyerhäuser, po Rockefellerze największy bogacz tego świata. Historia życia Weyerhäusera brzmi jak romans. Jako chłopiec ośmnastoletni nie posiadała ni grosza, umierając zaś pozostawił ośm miliardów. Urodził się w roku 1834 w Niedersaulheim w ks. Heskiem, jako syn ubogiego robotnika. W r. 1852 z matką i siostrami wywędrował do Ameryki i tam znalazł zajęcie w składzie drzewa, który następnie kupił z kimś do spółki. Przewidując, że wobec złej gospodarki leśnej ceny drzewa pójdą znacznie w górę, wszystkie swoje oszczędności lokował w kupnie lasów, które wówczas można było nabywać za tanie pieniądze. Z czasem posiadał olbrzymie przestrzenie leśne, z których złoto wartką falą płynęło do jego kieszeni. Przytem żył skromnie i obce mu były dziwactwa, w których bardzo lubują się milijarderzy amerykańscy.

Dowcipy sufrażystek. Bojowniczkę angielską są w pomysłach niewyczerpane. W tych dniach w Bradford na zebraniu niezależnej partii robotniczej, gdy członek izby gmin Ramsay, Macdonald powstał, aby wygłosić przemówienie, rzuciła na niego sufrażystka

worek mąki. Worek pękł i mąka od głowy do stóp pokryła mówcę, który, nie tracąc humoru, wśród ogólnej wesołości oświadczył, że zdarza mu się po raz pierwszy w życiu, iż jest „ubielony” przez swoich wrogów. Drugiemu mówcy, również członkowi izby gmin, Snowdenowi, sufrażystki nie pozwoliły przyjść do słowa. Gdy burzliwe niewiasty chciały usunąć z sali, okazało się, że przykuły się one łańcuchami do krzeseł. Łańcuchy rozbito dłutami i wyrzucono sufrażystki za drzwi.

Jubileusz fotografii. W roku bieżącym przypadają dwa 75-letnie jubileusze w zakresie sztuki fotograficznej. W styczniu święciła ona jedne, w lutym — obchodziła drugie diamentowe gody. Dnia 9-go stycznia 1839 słynny fizyk Arago na posiedzeniu akademii francuskiej obwieścił, że malarzowi Daguerre udało się za pomocą specjalnie przyrządzonych płyt uchwycić podobizny ludzkich twarzy.

Był to wynik długich, wytrwałych prób i doświadczeń, które Daguerre czynił od roku 1813 w mieście Chalons sur Saône przy współdziałaniu Nicefora Niéppe. W roku 1823 zmarł jego pomocnik. Daguerre w końcu 1838 roku zwrócił się do trzech członków akademii paryskiej: Humboldta, Biota i Araga i przedstawił im swoją camera obscura. Dzięki ich poparciu akademja przyznała mu dożywotną pensję w wysokości 6,000 frank., a na jego prośby, dodała 4,000 fr. synowi jego współpracownika.

Zbiegiem okoliczności, zdarzającym się nieraz w dziedzinie wynalazków, w parę tygodni potem, Anglik Fox Talbot innemu towarzystwu naukowemu, Royal-Societ w Londynie, przedłożył inny przyrząd do utrwalania rysów twarzy. On pierwszy stosował negatywy i objektywy. Wynalazek rozpoznał się. Nazwisko wynalazcy poszło w niepamięć.



Z piśmiennictwa.

Ks. dr. K. Lutostawski. Skauting jako system wychowania moralnego. Warszawa. „Prąd”.

Dla wychowawców, zajmujących się fizycznym i moralnym wykształceniem młodzieży, broszura ta pożądaną będzie wskazówką dla połączenia obecnego ruchu harcerstwa z etycznymi dążeniami w naszym narodzie.

Stefan Gębarski. Księżę Józef Poniatowski. Warszawa. „Kronika Rodzinna”.

Króciutki życiorys bohatera narodu polskiego, złożony z urywków i obrazków, tworzący mały pogląd na niezapomnianego ks. Józefa.

Czesław X. Jankowski. O byt ekonomiczny. Warszawa. „Kronika Rodzinna”.

Broszurka ta zawiera cenne przyczynki do budzącego się powszechnie ruchu wyzwolenia kraju z pod przewagi żydowskiej.

M. Pacoszyński. Kalkulacja w handlu towarowym. Warszawa 1914. Nakładem Aleks. Grankego.

Broszura zawiera rozmaite przykłady kalkulacji w inte-

resie kupieckim, obliczenia przy kupnie i sprzedaży towarów, wskazówki dla obliczenia procentów itp. Książka bardzo pożyteczna dla detalistów. Cena 1 rb.

Zygmunt Bartkiewicz. Pierwszy grzech. Nowele. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa.

Nowy tom nowel autora „Słabych serc“ i „Psich dusz“ nie czyni zawodu zwolennikom jego swoistego talentu. Taka tu krzepkość, taki sam stosunek do znieprawiającego duszę ludzką życia wielkomięskiego, taka sama tęsknota do wolności, zabarwiona serdecznym uczuciem dla czasów przeszłych.

Nie zapomniał jednak Bartkiewicz i o terażniejszości, którą umie malować dosadnymi barwami. Miasto, do którego w istocie ma wstręt i któremu pogardza, ma w nim jednego z najlepszych odtwórców swojego małego, nikczemnego życia, w którym więcej jest miejsca na spryt i przebiegłość, niż na prawość i cnotę. Szczególnie Łódź — to piekło polskiego robotnika, wyzyskiwanego wszechstronnie i przez fabrykanta Niemca i przez pośrednika żyda, znalazła w nim pilnego badacza. Z plastyką zewnętrzną i prawdą wewnętrzną kreśli nam Bartkiewicz obrazy łódzkie.

Zna jednak autor „Pierwszego grzechu“ także i zaufki Warszawy. Z dziejów takiego „Pana sztuki“, artysty, którego los zapędził za ladę sklepową i uczynił pośmiewiskiem podwórka na ulicy Furmańskiej, powstałby mógł wyborny romans, dający kawał życia ludzkiego, w którym błędem nie do darowania jest miłość dla sztuki.

W noweli tej talent Bartkiewicza zabłysnął najsilniej i przemówił najwymowniej tem szlachetnym współczuciem dla człowieka i niedoli ludzkiej, która w sercu autora znajduje zawsze oddźwięk niezawodny.

Artur Gruszecki. Kandydat. Powieść.

Utwór osnuty jest na tle stosunków galicyjskich. Bohater wszelkimi sposobami pragnie dojść do stanowiska i uzyskać katedrę uniwersytecką. W tym celu gra komedję starającego się o rękę córki profesora, by zyskać jego poparcie oraz protekcję jego przyjaciela, bardzo wpływowego prof. Oknińskiego. Gdy jednakże „kandydata“ zawiodły nadzieje uzyskania szybkiej profesury, stara się zrobić karierę w świecie politycznym i czyni usilne zabiegi o krzesło w radzie miejskiej. Wybrany radcą, w zasadach swych chwiejny dla rozgłosu i kariery, przerzuca się z jednego obozu do drugiego i używa na teraz wszelkich środków, które ujawniają jego niski charakter. Lepiej jeszcze poznajemy go w stosunkach do kobiety, która wierząc w jego wyższość ducha i szczerą aspirację, zrywa dla niego z swym narzeczonym.

Jak wszystkie powieści Gruszeckiego tak i „Kandydat“ pisany zajmująco, z wielką znajomością ludzi i stosunków. Z ciekawością śledzimy bieg wypadków, dopiero pod koniec, gdy poznajemy dokładnie charakter bohatera, przestajemy się wzruszać jego losami.

S Z A R A D A.

*Pierwsza z drugą mówi śmieie
O głównym kościele,
Trzecia sama powie tobie
O trzeciej osobie;
A wszystko razem
Gry jest obrazem,
Lub z zamierzchłej wiedzy toni
Mocarza z berłem w dłoni.*

Znaczenie szarady zamieszczonej w Nr. 14 „Ziarna“

B U R A K I

nadesłali: p. Karszo-Chmielewski, J. Lalas, M. Nowak, Karol Machnowski, Mania, N. Bujalska z Warszawy; T. Sobolewski z Szymanowic, A. Kuciewicz z Tuzyna, Domek z pod Chełma, Ed. Szwarz z Dziepołci, T. Klekowski z Pińska, Bron. Górka z Zielonki, M. Myszkowska z Mławy, A. Wieliczko z Jusian, J. Konczyk z Cudnowa, R. Kurdybanowski z Borodjanki, Br. Gorski z Będzina.

Z pomiędzy nadesłanych rozwiązań rozlosowano książki dla p. Karola Machnowskiego z Warszawy i Marji Myszkowskiej z Mławy.

PRZEDPŁATA na tygodnik „ZIARNO“ wraz z wszystkimi 53 dodatkami wynosi: w Warszawie rocznie rubli 6, półrocznie rb. 3.00, kwartalnie rb. 1.50, z przesyłką pocztową rocznie rb. 7, półrocznie rb. 3.50; kwartalnie rb. 1.75, zagranicą rocznie koron 20, albo marek 17, półr. k. 10, albo m. 8¹/₂, kwart. k. 5 albo m. 4.25 albo 1 dolar.

Adres Redakcji i Administracji „Ziarna“ w Warszawie: Tamka 46, telefon Redakcji 402-44.

Redaktor i wydawca: L. Marjan Wolff.

Kierownik literacki: dr. fil. Tadeusz Jaworski, przyjmuje codz. od 6—7 ppł.

Papier: Krajowej Spółki Papierniczej.

Druk E. Szyllera, Tamka № 46.

Królowie polscy,

Obraz rysunku J. Matejki, kolorowany przez M. Gerson-Dąbrowską, wykonany litograficznie w 18 kolorach, wyszedł w nowym nakładzie księgarni Jana Fiszerza. Portety 40 królów polskich ułożone są na tle godeł narodowych i herbów Polski, Litwy i Rusi. Rozmiary dużego kartonu 74×100 cm. Piękna i barwna litografia oraz przede wszystkim wzniosły temat i praca najslawniejszego malarza polskiego zalecają wspaniałe to wydawnictwo. Obraz, stanowiący prawdziwą i cenną pamiątkę narodową, winien znajdować się w każdym domu polskim.

Dzięki pomyślnemu układowi z firmą księgarską Jana Fiszerza możemy Czytelnikom „Ziarna“ ustąpić obraz ten po cenach niższych i to na grubym papierze kartonowym po 2 rb. (zamiast 3 rb.); a podklejony płótnem na wałkach po 3,50 rb. (zamiast 5 rb.). Koszty przesyłki pierwszego obrazu wynoszą 50 kop., drugiego 85 kopiejek.

Zamówienia i przekazy adresować należy do Administracji „Ziarna“ z nadmienieniem, że wysłaną sumą (2,50 rb. lub 4,35) przeznaczoną jest na dostarczenie obrazu „Królowi Polskich“.

Zachęcamy raz jeszcze naszych Czytelników do skorzystania z rzadkiej sposobności nabycia dla domu swego pięknej i patriotycznej ozdoby.

Prosimy pospiesznie odnowić prenumeratę za kw. II.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

WP. Fr. Lopal. w Petersb. Życzenie W Pana skierowaliśmy do wydawcy p. Al. Granke'go, Warszawa, Złota 5.

WPani Jadwidze Bitowttowej w Chorążyskach. Wysyłkę elementarza załatwi z naszego polecenia wydawca. Nie możemy pominąć sposobności, aby SzPani podziękować za wyrazy uznania, skierowane pod adresem naszego kierownika literackiego. Jest to rzadki u nas w Polsce wypadek, żeby redaktor za swą pracę dla społeczeństwa i czytelników otrzymał tę najmiłszą mu nagrodę. Dziękując za łaskawie nadesłane pismo zapewniamy SzPanią, że „Ziarno“ działać i postępować będzie i nadal na wytkniętej przez jego kierownika drodze. Za obiecane poparcie serdeczną zachowamy wdzięczność.

Kilku Czytelnikom „Ziarna“. Wykonanie w barwach rycin do albumu „Świątynia sływy narodowej“ wymaga wielkiego nakładu czasu i pracy. Album jest w druku i zaraz po wykonaniu wraz z okładką go wyślemy. Prosimy o cierpliwość, za co obiecujemy piękne wykonanie.

TREŚĆ N-ru 17.

Zadania narodowe i społeczne. — Wiosna, wiersz Z. Zaleskiego. — Henryk Rzewuski: Zamek krakowski, romans histor. z w. XVI (c. d.). — W obronie wychodźców polskich. — Cmentarny wiatr, wiersz E. Kozikowskiego. — Zieleniaki, nowela. — Koszty latania w powietrzu. — Typy żydów (dok.). — Kronika polityczna. — Z bliska i daleka. — Z piśmiennictwa -- Szarada i rozwiązanie. — Odpowiedzi Redakcji.

Ilustracje. K. Biske: Z wędką na wiosnę. — Pasowanie Leszka Białego na rycerza. — Bambusy w Indjach. — F: Vineau: Zabawa żołnierska. — Żyd z Tunisu. — Biały żyd z Kochin. — Czarny żyd. — Żydówki trypolitańskie. — Mamut przedpotopowy. — Amerykański park samochodów wojennych.